# Marcin Darmas: Parę luźnych uwag o Célinie i nowej powieści konserwatywnej

Literaturę konserwatywną widzę czasami jako bunt ducha przeciwko ciężarowi rzeczy

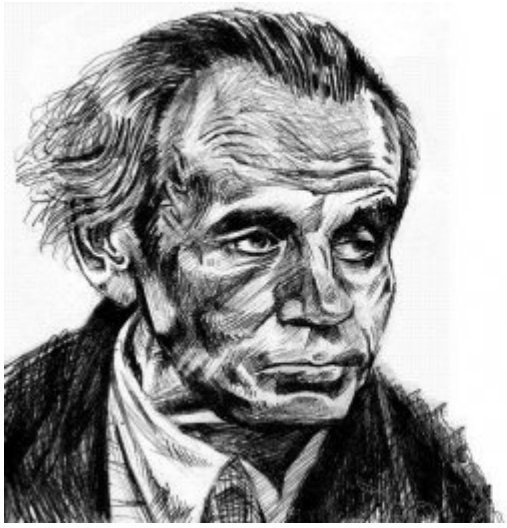

**Literaturę konserwatywną widzę czasami jako bunt ducha przeciwko ciężarowi rzeczy**

Louis-Ferdinanda Céline'a raziło wszystko: razili go ludzie z ich skrytą za parawanem konwenansów małością i chęcią odwetu. „Ludzi należy się bać i tylko ludzi, zawsze." Współczuł im jednak i twierdził, że zostali obciążeni ciężarem życia przekraczającym ich możliwości. Gdy jest im ciężko wpadają niejednokrotnie w alkoholizm, a pijani stają się jeszcze bardziej nieznośni i dokładają sobie i innym kolejne strapienia - nowe ciężary.

Literaturę konserwatywną widzę czasami jako bunt ducha przeciwko ciężarowi rzeczy. Bo czymże jest gwałtowne żądanie powrotu do przeszłości, jeśli nie przeobrażoną zachętą ucieczki do świata ducha? Jedni patrzą na niebyłe, na gwiazdy gasnące, inni odcinając się od świata, w samotności gimnastykują się ku śmierci. Bowiem tylko styrani pracą, albo ci w nagłębszej samotności, niczym mistycy, odnajdują w

sobie Bożą cząstkę. „Być może tego właśnie poszukujemy w trakcie całego życia, tylko tyle, największego możliwego strapienia, aby na chwilę, przed śmiercią, móc stać się sobą” - mówi Bardamu, bohater *opus magnum* Céline’a. Doświadczeniem konstytutywnym dla pisarstwa Céline’a jest człowiek - ten anielski robak. Oraz jego podróż przez piekielne jęzory do kresu nocy.

Są w tej książce nakreślone różne stopnie i sposoby wyrwania się z objęć dusznej rzeczywistości, chęć czmychnięcia, na chwilę, na jeden oddech, jedno spojrzenie.- a nawet na jeden film. W „Manhattanie” Woody’ego Allena jest scena, gdy bohater zmęczony gmatwaniną ludzkich relacji znajduje schronienie w kinie.

Bardamu przyrównuje kino do snu dla najuboższych; stworzone, aby zapłodnić umysły jak największej rzeszy ludzi światem bez skazy; daje wytchnienie umęczonym płaskością codzienności. Pierwszą noc w Nowym Jorku spędza w kinie: „marzenia unoszą się w ciemności, aby rozpalić się w migotliwym świetle. To nie jest do końca żywe, to, co się dzieje na ekranie, bo wewnątrz pozostaje spora i niewyraźna przestrzeń, miejsce w sam raz dla biednych, dla marzeń. I dla zmarłych. Trzeba się śpieszyć, aby wchłonąć tych snów jak najwięcej i przebijać się przez życie, które czeka na was na zewnątrz, po to aby wytrwać choć kilka dni w tym okrutnym świecie przedmiotów i ludzi. Wśród snów wybierać zaś trzeba te, które najbardziej rozgrzewają duszę.”

Autora „Podróży do kresu nocy” poraziło i odmieniło na dobre doświadczenie Wielkiej Wojny. Bardamu tak, jak całe rzesze Europejczyków, przesiąknięty egzystencjalnym bólem tworzenia i buntem wobec horroru wojny, wyrusza w podróż: „Bardzo się zmieniłem - mówi - i coraz trudniej było mnie zadowolić; w mojej głowie ostały się jeno dwie rzeczy: wyjść z tego wszystkiego cało i wyruszyć do Ameryki”. Pomysł przyszedł nagle, jak iluminacja, podczas rekonwalescencji w zakładzie dla obłąkanych żołnierzy, którym wojna odebrała duszę i pozostawiła bez marzeń. Bohater ucieka także dlatego, że w oczach Loli, wolontariuszki amerykańskiego Czerwonego Krzyża poznanej na paryskich bulwarach, dostrzegł obietnicę lepszego jutra. Stany Zjednoczone - myśli bohater - muszą być krainą bez skazy, skoro wydały na świat tak cudowną, bezbronną i pełną optymizmu istotę. Lola nie wylądowała we Francji wiedziona przekonaniami

pacyfistycznymi; wojna była dla niej obowiązkiem miłości do ojczyzny i wolności. Bohater ze zdumieniem wysłuchuje pompatycznej triady amerykańskiej patriotki: „Więcej armat! Więcej ludzi! Więcej amunicji!” Bardamu uznaje za daremne tłumaczenie Loli, w jaki sposób huk armat zagłusza wielkie idee i burzy chiński mur odgradzający człowieka od zwierzęcia.

Lola to dziwna istota. Do tej pory jakby nietknięta brutalnością świata - skąd mogła aż tyle wiedzieć o zabijaniu? O dokonujących się przeobrażeniach technologicznych, które na trwale zmienią oblicze i naturę człowieka: o batalii przemysłowej produkującej czołgi, gaz łzawiący, karabiny maszynowe? Bardamu usłyszy od kolejnego entuzjasty wojny, psychiatry Bestombes’a: „wojna, poprzez te wszystkie nieporównywalne z czymkolwiek środki, które stwarza, aby poddać próbie system nerwowy człowieka, objawia nam w niezwykły sposób specyfikę umysłu ludzkiego!”.

Geniusz Céline’a konfrontuje tutaj dwa typy bohaterów, które będą miały decydujący wpływ na kształt kultury Zachodu XX wieku: egzystencjonalnego niedowiarka z hollywoodzką popkulturą. Jest to spotkanie przypominające dialog głuchych. Nawiasem mówiąc, „Podróż do kresu nocy” interpretować można jako ostrzeżenie przed ekspansją zarówno jednego, jak i drugiego typu w świadomości kultury Zachodu.

W końcu Céline’a raził język. Postanowił więc go zmienić. Literaturę francuską podzielono na dwie epoki, przed Célinem i po Célinie. Udało mu się bowiem oddać rytmikę języka mówionego. Jest u niego szorstkość i dobitność krótkiej frazy, olśniewające *crescenda,* i mocno cięte *staccanda.* Jakże ponuro w ustach półanalfabety brzmią zapewnienia, że wszystko stracone, że najgorsze to to, że zastanawiamy się w jaki sposób jutro znajdziemy siłę, aby kontynować starania przerwane wczoraj. Skąd znaleźć siłę na te idiotyzmy, tysiące pomysłów, których nie zrealizujemy, na próby wyrwania się sile konieczności, próby wciąż płonne, zabijane w zarodku, aby znów zrozumieć, że nie sposób przeskoczyć losu...? I rano znów staniemy przed ścianą. Jutro, które grozi najgorszym. Niczym czas. „Niewiele zostało nam muzyki w środku, aby roztańczyć życie” - wzdycha Bardamu.

W telewizyjnym wywiadzie, którego udzielił Pierre'owi Dumayetowi, francuski pisarz powiedział, że jego książka posiada subtelność suki pociągowej, która uporczywym szczekaniem ostrzega całą załogę sań o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Takiej postawy wymagam od dzisiejszego młodego pisarza mieniącego się konserwatystą. Razi mnie, gdy pisze o podartym motylku, który zrobił zeń mężczyznę. Dostaję piany, gdy z delikatnością opisuje smarowanie smyczka kalafonią. Gdy nieobecnego ojca najpierw obrzuca błotem i zarzuca indyferencję, a później po chrześcijańsku - a jak! - ułaskawia. Literatura to o wiele poważniejsza rzecz od meandrów, bądź co bądź, spokojnej, krakowskiej rodziny. Odnajduję więcej mistyki w obrazoburczych opisach Célina czy Ciorana niż w instruktarzu „jak czytać ewangelię". Młody konserwatysta nie może być adolescentem w kajdanach własnej cenzury. Musi piórem dźgać i zabijać. Takie ryzyko pisarskiego zawodu.

Nie zgadzam się z Mateuszem Matyszkowiczem, że konstytutywne dla powieści konserwatywnej jest pozycja ideologiczna, antykomunizm czy ukorzenienie aksjologiczne... Mackiewicza nie sposób zreaktywować. Proponuję zamienić go Célinem. Z niezgody na okrucieństwo świata, ludzi i słowa uczynił credo swojego pisarstwa. Oczywiście należy wpierw wejść w głąb samego siebie. I tu się zgadzam. Ale jednocześnie nie należy bać się tego, co można tam znaleźć. Z takim przesłaniem na swoich sztandarach powinna iść - moim zdaniem - powieść konserwatywna. Potrzeba nam podróży do kresu nocy. Bo za dnia dzieją się nudy.

*Marcin Darmas*